

Pielgrzym

Ze wspomnień pewnego krawca

Ósmy

„Jakich jest siedmiu towarzyszy życia człowieka? Odpowiadam: siedmiu, którzy go nieustannie prześladują. Są to – głód, pragnienie, upał, zimno, zmęczenie, choroba i śmierć”. Mądrześ to napisał – nieznanym z imienia ani nazwiska człowieku – od siebie zaś dodam, że wszystkich tych łotrów spotkasz niechybnie, udając się w długą pielgrzymkę do miejsca świętego. Ten zaś, kto dla zbawienia duszy lub doczesnych korzyści podjął trud pątnika, spotyka w swym życiu jeszcze ósmego towarzysza. Nie miałem wiedzy o takim wiernym kompanie, gdy wiosną tamtego roku ruszałem na świętą peregrynację do Santiago. Bo gdybym miał...

Buen camino! Dobrej drogi! *Coquillards!* Muszelki! – słyszałem na rogatkach naszego miasta jak każdy zdążający do świętego Jakuba i wciąż dźwięczą mi owe słowa w uszach, choć tyle już lat upłynęło. Pusty śmiech mnie ogarnia, gdy wspomnę to moje podniecenie, tę moją niewinną radość, i gdybym wtedy wiedział, jak przewrotnie brzmią...

Za progiem

Wyszliśmy na gościniec o świcie. W sakwie oprócz kredencjału, czyli pielgrzymiego glejtu, i niezbyt pękatego mieszka, dalej: paternostra, śpiewnika i książeczki do nabożeństwa (wszystko to zamknięte w szczelnej blaszanej puszcze), schowałem funt chleba, kawał wędzonej szynki, zacny trójkąt podsuszonego sera, butelkę jabłkowego moszczu, oprócz tego: zwiniętą pelerynę, krzesiwo, skórzany kubek, gąbkę do sięgania po wodę i lusterko do zerkania ponad tłumem wiernych. Czerwona safianowa torebka skrywała igły, nici, zapasowe zelówki i inne niezbędne drobiazgi. Łyzkę wsadziłem w rondo kapelusza, za pasek wetknąłem ostry nóż, garnek do gotowania zupy zawiesiłem na ramieniu, podparłem się długim kijem z guzłami, jak laską.

Było nas dwunastu, bo choć tradycja nakazuje wędrować do Santiago samemu lub we dwóch, uznaliśmy, że tak będzie i bezpieczniej, i różniej. A liczba dwanaście dawała poczucie nadzwyczajnej siły. Zaiste, komu Bóg chce wyświadczyć prawdziwą łaskę, tego wysyła w świat. Słońce świeciło jasno, mimo wczesnej pory było ciepło, ptaki śpiewały nad naszymi głowami, podążaliśmy ochoczo, śpiewając i pobożne, i nieco – wstyd przyznać – swawolne piosenki. Droga wiodła piękną okolicą, wśród łąk i pól zielonych, pachniała mięta, łubin zbierał się do kwitnienia, brzęczały pszczoły i trzmiele, buczały bąki. Czasami przechodziliśmy przez wieś, przez osadę, przez miasteczko, gdzie ktoś nas pozdrawiał, a ktoś błogosławił, śmialiśmy się z wesółych wędrownych kuglarzy, jocularów, goliardów i wszelkich innych błaznów, oglądaliśmy histrionów, tancerzy, atletów, linoskoczków,

połykaczy ognia, słuchaliśmy smutnych minezingerów (jedyni z tej czeredy dostąpią zbawienia), niekiedy przystawaliśmy koło studni, przysiadaliśmy pod płótem („Dobra kobieto, pozwólcie chwilkę spocząć...”), pod kościelnym murem („Zacny plebanie, zdążamy do Jakuba!”), piliśmy wodę, od której bolały nas zęby, i gęste, tłuste mleko, od którego bolały nas brzuchy, jedliśmy mianę niebieską i ludzką. I już nie byliśmy *peregrini*, „obcy”.

Via turonensis

Szliśmy od Północy, prowadzić nas miała *Via turonensis*, co oznacza, że przekraczając Loarę, obchodząc Orlean, winniśmy dotrzeć do Tours (gdzie pobłogostawi nas święty Marcin), skąd dalej do Pitou, Saintonge, Poitiers (tu odwiedziny u świętego Hilarego), Saint-Jean-d'Angély (z czcią pochylimy się przed świątą głową Jana Chrzciciela), Saintes (modlitwa do świętego Eutropiusza, u którego – jak mówią mirakle – szansa na cud niemała), Blaye, Bordeaux, Dax, Ostabat (ostatni rzut oka na śliczną, modrą Francję), Roncesvalles (no i już Hiszpania...), Pampeluny (nie zatrzymają nas byki), Puente la Reina, Logroño, Burgos i León (tam święty Izydor). Nareszcie zbożny cel: Santiago de Compostella w Galicji. El Camino de Santiago, Le chemin de Saint-Jacques, Droga świętego Jakuba. Tak miało być. A jak było?

Nasz szlak rozpoczynał się w Tours, inne w Velazay, Arles i Le Puy. Wszystkie razem tworzyły *Camino frances*, „Drogę francuską”. Czy aby nie czasem: nasz szlak rozpoczynał się w Velazay, inne w Tours, Arles i Le Puy? Wszystkie razem tworzyły *Camino frances*, „Drogę francuską”. Albo: nasz szlak rozpoczynał się w Arles, inne w Velazay, Tours i Le Puy. Wszystkie razem tworzyły *Camino frances*, „Drogę francuską”. Czy może raczej: nasz szlak rozpoczynał się w Le Puy, inne w Tours... Wszystkie razem tworzyły *Camino frances*...

Które z tych stwierdzeń było prawdziwe? A może wszystkie były fałszywe? Wiedziałem na początku; im dłużej zaś trwała pielgrzymka, mniej już byłem pewny.

Tuzin... i znów tuzin

Minęło dni parę wędrówki. Moje nogi powoli przyzwyczały się do butów, moje buty z czasem zaprzyjaźniły się z piaskiem i kamykami gościńca. Któregoś ranka, gdy już obmyłem się w zimnym potoku i zacząłem przygotowywać stawę dla siebie i towarzyszy, zauważyłem, że jest nas dwakroć po dwunastu. Ki czort? Wyszło dwunastu, idzie dwudziestu czterech? Nikt się nie przyłączał, chyba że w nocy, ale ja sen mam jak zajęc pod liściem kapusty. Na drugi dzień było nas już trzydziestu sześciu, potem czterdziestu ośmiu, ale pod koniec tygodnia liczba pielgrzymów spadła znów do dwunastu i na razie się nie zmieniała. Ocierałem pot z czoła (nastały wyjątkowe jak na maj upały). Moje pomieszanie idzie z tego niemożliwego gorąca – znalazłem proste rozwiązanie liczbowej zagadki – i postanowiłem w południe nie zdejmować kapelusza ni przez chwilę. Szkoda mi trochę było znajomości z dwoma

Italici – tymi, co dołączyli, gdy było nas trzydziestu sześciu – ale nagle Pietro i Paolo zniknęli jak kamfora i nie zdążyłem z nimi nawet wymienić adresów.

Ksiądz

Nie pisałem, że idzie z nami ksiądz? Nie pisałem, bo nie szedł. Aż tu któregoś wieczora nieznany mi klecha podwija sutannę, bierze dwa gładkie kamienie, kładzie na nich wyciągniętą nie wiadomo skąd nieheblowaną deskę i stawia kielichy mszalne. Zakłada stułę, opusza sukienkę, siada na pniaku i czeka. Wypowiadałem się (trudno nie skorzystać z okazji, gdy grzechy za pazuchą), wysłuchałem – razem z innymi – mszy, przyjąłem Najświętszy Sakrament. Rano księżulo zniknął. Odtąd raz był, a raz go nie było, i nijak nie mogłem znaleźć prawidłowości w pojawianiu się naszego świątobliwego przewodnika. Czasem szedł z nami za dnia, a czasem tylko odprawiał wieczorną mszę i w nocy zniknął, rozpływał się jak mgła. Był więc na tym świecie jakby w jednej drugiej. Ciekawa zagadka bytu. Ciekawa dla Abelarda, a czy także dla mnie? Ksiądz, zagadnięty, popatrzył na mnie uważnie i uśmiechnął się tylko. „Dobrej drogi, Muszelko. *Dar zuo helf unss Got der Vater Sun und der heilig Geist*”. Od siebie dodałem: „Amen”. A cóż mogłem dodać?

Zaraz, zaraz, chyba mnie nie bierze za jedną z „Muszelek” Villona?...

Rzemieślnicy, kupcy

Osobliwością naszej pątniczej grupy, naszej *ordo peregrinorum* było, iż składała się z samych tylko rzemieślników. Po prawdzie, niczego dziwnego w tym nie było, ponieważ pielgrzymkę organizowało bractwo świętego Jakuba w naszym mieście, czyli „Matamore”, a w nim najwięcej jest przecież przedstawicieli rzemieślniczych cechów. Ja sam jestem czeladnikiem u krawca; oprócz mnie szło jeszcze dwóch mistrzów igły, poza tym jeden szewc, jeden kapelusznik, piekarz, dwaj cukiernicy, trzech snycerze i na dokładkę ludwisarz. Dwaj uczniowie, sześciu czeladników, czterech majstrów. Było o czym pogadać, o co się pospierać, z czego pożartować. Było tak do czasu. Ponieważ, począwszy od jedenastego dnia pielgrzymki, szedłem w gronie samych kupców (z nimi można się tylko kłócić), od szesnastego wśród bakałarzy (niezbyt roztropni, biedni, za to weseli jak szczygły), od dwudziestego drugiego miałem wkoło siebie ponurych, milczących zakonników (tu komentarz zbędny), a potem już nic nie było wiadomo. O Jakubie, opiekunie pielgrzymów...

Poitiers i Bordeaux

Byliśmy chyba w okolicy Poitiers, gdy ujrzałem morze. Nie jestem zbyt biegły w geografii, kilka klas mam jednak za sobą, niektóre – dla utrwalenia – nawet po dwa razy, i wiem, doskonale wiem, że miasto owo leży na nizinie, wiele mil od morskiego wybrzeża. Aż tu naraz morze. Patrzyłem długo na fale, wdychałem rześkie, nasycone solą powietrze, ale gdy rano pobiegłem na plażę, by zanurzyć

stopy w zielonkawej wodzie, nie było niczego. „Fatamorgana, bracie”, tłumaczył mi później towarzysz z prawej (ustawieni teraz byliśmy w kolumnie trójkami, jak wojsko), gdyśmy już wędrowali do Bordeaux. „Fatamorgana zdarza się na pustyni i znają ją dobrze Maurowie. Człowiek spragniony widzi to, co chce ujrzeć... Hej, na co się teraz gapisz, bracie?”. A ja patrzyłem na góry. Wysokie, strzeliste turnie wbijały się w chmury i samych szczytów nie można było dojrzeć. Fatamorgana? – myślałem sobie, gdyśmy strudzeni wspinali się po zboczu, a potem długo maszerowali przełęczą. Nie jestem może zbyt biegły w geografii, ale czy w Bordeaux są góry? „Czy to znowu zjawą?”, spytałem kompana z prawej, ale kroczył tam już inny pielgrzym. Czyż mogłem się dziwić, że spojrzął na mnie z niechęcią?

Camino frances, przyjaciele?

„Idziemy do Fatimy”. „Do Lourdes, przyjaciele, do Lourdes!”. „Jakże to, bracia, czyż nie jesteśmy na Camino frances?”. W nocy budziły mnie dyskusje, spory, waśnie, bijatyki prawie. Ilu peregrinusów, tyle też punktów widzenia. Ktoś szedł do Einsiedeln, ktoś chciał do Lisieux. Byli tacy, co pielgrzymowali do Oberammergau, i tacy, którzy wędrowali do Banneux i Beauraing. Wielu, jakże wielu chciało podążać do Rzymu, wielu do Asyżu, inni do Bari, jeszcze inni do San Giovanni Rotondo. Ci do Loretto, tamci do La Salette. Jedni podążali do Rocamadour, inni do Mont Saint-Michel, jeszcze inni do Monserrat. Do Heiloo, Kolonii lub do Canterbury. „Jakże to, bracia, przecież jesteśmy na *Via turonensis*, na *Camino frances*”. Od Altötting, Marizell, Ludźmierza i Częstochowy po Croagh Patrick na Zielonej Wyspie. Byli i tacy, których pielgrzymi szlak prowadzić miał hen, aż do Jerozolimy, lub za wielkie morze, gdzieś do Gaudalupe. „Spieszmy do Santiago, wszyscy”, uciałem. Uciałem, nie będąc pewnym. Cóż, chyba powinniśmy zdążyć do Santiago. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Kiedy ranne wstają zorze

Kto myśli, że pielgrzym tylko idzie, śpiewa i modli się, ten jest w wielkim błędzie; a choć poeta powiada: „Droga jest zawsze lepsza niż gospoda”, to przecie czasem trzeba z owej drogi zejść. Pielgrzym także odpoczywa, śpi, je, pije, weseli się (cóż, że czasem odrobinę grzesznie), także słabuje, choruje, a bywa że i duszę swą oddaje Panu w czasie pątniczej wyprawy. Wędrowną, śpiewem i modlitwą władają: gościniec, kościoły, przydrożne kapliczki. Cała reszta: *tectum, focum, cenam* oddane zostały w pacht gospodom, oberżom, tawernom, hospicjom (na które mówią też: *xenodochia*). I w tym cały kłopot. Zaręczam, że na jedno posiedzenie wypijam tylko dwie kwarty piwa, mocniejszych trunków nie tykam z zasady, nadmiernie obfitych kolacji nie jadam, spać chodzę wcześniej, na płęć odmienną w czasie pielgrzymki patrzę z rezerwą i pieniądze potem liczę skrupulatnie. Nikt mi więc zmęczenia umysłu i zmęczenia ciała zarzucić nie może. A przecież... Pewnego razu wieczerałem w tawernie – było to w okolicach Dax – z dwoma bogatymi panami, w głowie nic nie szumiało, dwa półgęski nadmiernie nie obciążały żołądka, poszedłem spać do pokoju

gościnnego – jak zwykle – przed północą, a przecież obudziłem się w nędznym hospicjum, gdzie na śniadanie była cienka, postna zacierka i jedno zgniłe jabłko, moi zaś panowie okazali się – co u licha? – dwoma braciszkami, o dość mizernych kałdunach i raczej chudych trzoscach. Innym razem znużeni dowleliśmy się w środku nocy do – trzeba przyznać – wyjątkowo podłego *xenodochium*, gdzie na trzech pątników przypadała jedna wąska i cuchnąca prycza. A przecież świt mnie powitał w pachnącej, czystej pościeli, z dwoma dorodnymi córkami oberżysty – to okazało się wkrótce – u boku. O, *pulchrae ut Luna!* Co więcej, mieszek, który ostatnio skurczył się do rozmiarów urągających wszelkiej przyzwoitości, teraz był okrągły, pełny i wesoło zadzwonił, gdy nim potrząsnąłem. Czy zaskakuje was, że zamiast wielce budującej pieśni „Kiedy ranne wstają zorze”, z ust mych popłynęła piosnka „Miła karczmarzowo, wstanie! – daję słowo”? Przypadków podobnych przeistoczeń mógłbym wymienić więcej, dużo więcej. Stoliczek „nakryj się”, wóz ciągnięty przez rachityczne kozy, zmieniający się w czasie mej krótkiej drzemki w wytworną karocę, do której zaprzężono czwórkę lśniących gniadoszy, oto przykłady takich osobliwych historii, takich hokus-pokus.

Ojciec, Syn i Duch Święty

Idzie z nami od Roncesvalles pewien Grek, Bazyli. Modli się on rankiem i wieczorem przed obrazem Pana naszego, złotem malowanym na niedużej desce, który niesie z sobą i pieczołowicie chroni. Tęga to, lecz i zapalczywa głowa, gotów o każdej porze dnia i nocy spierać się o filioque. Ledwo oczy otworzy, już wywodzi, że tylko Ojciec był początkiem Bóstwa. „On to w przedwieczności rodzi Syna i to z niego jest Duch Święty. Duch Święty zrodzony jest tylko z Ojca, nie można więc mówić – jak uchwalono na synodzie w Toledo – ‘...który od Ojca i Syna pochodzi’. Źródłem, tak Ducha, jak i Syna pozostaje Ojciec”. Na którymś postoju prawie mnie przekonał. Nie mogłem jednak zasnąć. Całą noc zajęło mi układanie formuł. Rano Bazyli przeklął mnie jako arianina. „Twe usta – czeluść tykająca muchy!”. Na to nie mogłem pozwolić i odtąd codziennie miałem inny pomysł. I tak jednego dnia byłem bogomilem, drugiego monofizytą, trzeciego katarem. Dotknął mnie jeszcze palec doketyzmu, donatyizmu, tryteizmu i pelagianizmu. Uspokoilem się dopiero w León, gdzie przed obliczem świętego oczyściłem duszę. Jednak – Izydorze – gdyby się zastanowić głębiej...

Arne i Adalbert, Adalbert i Arne

Arne idzie modlić się o zdrowie, don Giovanni po odpust zupełny, który ma zamiar uzyskać w dzień świętego Jakuba, to jest 25 lipca, Jan chce ten jeden raz w życiu poczuć, że jest raj na ziemi, dla niego życie to *Pilgerfahrt*, a nasza wędrówka to *peregrinatio religiosa*, Petrus ma nadzieję na zdobycie osobistej relikwii, w tym celu – gdy już będziemy w Santiago – położy chustę-brandeę najbliżej jak się da martyrium, by nasiąknęła Świętego wonnym, zagrobowym tchnieniem, Adalbert w nic nie wierzy,

w Boga, aniołów, Pana, Panienkę, świętych, nawet diabła, tym bardziej w *causa orationis* pielgrzymek, idzie, bo mu się tak podoba, w domu i tak by nic do roboty nie miał, Klaus wędruje zamiast wuja Karla, który go tym znacym obowiązkiem obarczył w testamencie (zapisując mu warunkowo młyn i pięć włók dobrego pola), Stefano poszedł, bo tak uczynił Salvatore, Salvatore wyruszył, bo takie postanowienie podjął jego brat Stefano...

W połowie drogi do Santiago, gdzieś tak przy granicy z Hiszpanią spytałem ich o cel pielgrzymki znowu.

Salvatore idzie modlić się o zdrowie, Stefano po odpust zupełny, który ma zamiar uzyskać w dzień świętego Jakuba, to jest 25 lipca, Adalbert chce ten jeden raz w życiu poczuć, że jest raj na ziemi, dla niego życie to *Pilgerfahrt*, a nasza wędrownia to *peregrinatio religiosa*, don Giovanni ma nadzieję na zdobycie osobistej relikwii, w tym celu – gdy już będziemy w Santiago – położy chustę-brandeę najbliżej jak się da martyrium, by nasiąknęła Świętego wonnym, zagrobowym tchnieniem...

Był środek lata, zbliżyliśmy się do celu. Na Mons Gaudi, Mont Joie, tej Górze Radości, skąd widać już było błyszczące wieże katedry, zadałem pytanie moim towarzyszom.

Klaus w nic nie wierzy, w Boga, aniołów, Pana, Panienkę, świętych, nawet diabła, tym bardziej w *causa orationis* pielgrzymek, idzie, bo mu się tak podoba, w domu i tak by nic do roboty nie miał, Adalbert wędruje zamiast jakiegoś Karla, który go tym znacym obowiązkiem obarczył w testamencie (zapisując mu warunkowo młyn i pięć chyba włók dobrego pola), Petrus poszedł, bo tak uczynił Arne, Arne zaś wyruszył, bo takie postanowienie podjął Petrus...

Miecz

Nie zobaczyłem miasta, jego bramy, Puerta del Camino, nie ujrzałem katedry, jej złotej, rzeźbionej fasady, El Obradoiro, Świętych Drzwi, grobu, wielkiej kadzielnicy, Botafumeiro, nie przypiąłem do kapelusza muszelki Jakubowej ani gałązki oliwnej, nie wziąłem żadnej eulogii. Przy samotnym głazie za wzgórzem opuściłem gościniec, uszedłem dobrą milę, skręciłem w zagajnik, ukląknęłem przy strumieniu. Na jego kamienistym dnie dostrzegłem zardzewiałą klingę poszczerbionego miecza. A po co idę ja? Obmyłem twarz czystą, zimną wodą. Poczulem łagodny powiew wiatru. Czas wracać do domu.